

Straszny był w tym gniewie swoim, niepodobny zupełnie do spokojnego, eleganckiego, uśmiechniętego pana, który niejednego, mniej wytrawnego fizyognomistę mógł złudzić swoją dobronaszną miną.

Radca biegł po swoim gabinecie jak szalony, kopnął nogą dywan, chwycił i rzucał najrozmaitsze przedmioty, krzycząc przytem ochryplym głosem:

— Ładaczka! Łajdaczka! Awanturka! Waryatka! Kij na niej połamię! Uszy poobrywam! Do domu poprawy dam... albo w klasztorze zamknę!

Niewątpliwem było, że przed żadną z zapowiadanych kar nie cofnąłby się, gdyby tylko miał po temu możność i środki.

— Co ludzie powiedzą?... Co Adela?... Ona tak uważa na opinię! Taki skandal! Taka hańba! Przez policję sprowadzę do domu waryatów... albo niech ginie... przepada!

Stobiński, który usunął się na bok, nieco w cień, śledził z pod oka gwałtowne ruchy radcy... To on nowiną swoją, która uprzedziła list z Zalesinek, wprowiła Maliniewicza w to niesłychane wzburzenie, które kazało radcy zapomnieć o wszystkich formach spokojnej dystynkcji.

Z zielonawych oczu Stobińskiego tryskał teraz wyraz jawnej, nieukrywanej pogardy. W przyziemnej, spodłalej duszy tego człowieka zbudziło się teraz coś, jakby nieprzeparty wstręt. Wstręt na widok tego ojca, bez krzty uczucia, który dla swego dziecka, w przepaść może lecącego, nie znalazł w sercu ani jednego drgnienia tkliwego, nic, prócz obelg, przekleństw i złorzeczeń.

Ani jednego słowa niepokoju ojcowskiego: Co z nią będzie?... Co ona robi?... Czy nie stało się jakieś nieszczęście?...

— Taki skandal!... Po gazetach to jeszcze gotowi rozmazać!

Znowu ciężki, malachitowy przycisk poleciał na ziemię.

— Potwór! — przemknęło Stobińskiemu w myśli.

No, chyba Józia będzie już wołała zostać jego żoną, aniżeli wracać do takiego ojca!

— Pan radca zanadto się irytuje — odezwał się wreszcie głosem, w którym wyraźnie drgały nuty ironii — można sobie zaszkodzić na zdrowiu... zwłaszcza, że pan radca krwisty...

Dźwięk cudzego głosu oprzytomnił Maliniewicza. Przypomniał sobie, że nie jest sam. Zatrzymał się, oparł się ręką o biurko i, dysząc ciężko, milczał chwilę.

— Rzeczywiście, apopleksja może człowieka trafić! — odezwał się wreszcie, ochłoniwszy trochę — ale niech się pan nie dziwi... To przecież córka... i coś podobnego...

Powoli wracało radcy zastanowienie, zdał sobie sprawę z tego, że unosił się zanadto i niepotrzebnymi wykrzyknikami gorzej jeszcze kompromitował Józję wobec Stobińskiego.

A ten Stobiński mógł być właśnie deską ratunku, piorunochronem, odciągającym głośny skandal.

Chociaż bowiem Maliniewicz nie zawahałby się wcale przed tem, by Józję przemocą osadzić w klasztorze lub zamknąć w domu poprawy, nawet w szpitalu dla waryatów, uświadomił sobie jednak, że łatwiej to powiedzieć, aniżeli wykonać.

— Dziewczyna ma ośmnaście lat... Nie da się... Psiakrew, co tu robić?... Chyba wypędzić na „zbity łeb“, ale wtedy ta waryatka gotowa jeszcze zaszargać nazwisko... Nie pozostaje nic — tylko ten Stobiński.

— Uniosłem się trochę — zaczął znowu z jakimś słodkavo-kwaśnym uśmiechem — no, rozumie pan... serce ojcowskie... trwoga... obawa...

— Aha! Już jest serce ojcowskie. — pomyślał Stobiński — Czekajmy dalszego ciągu...

— Pan w swoim opowiadaniu przesadził trochę, sądzę, przejaśkrawił, że tak powiem... — mówił radca, nerwowym trochę ruchem zapalając papierosa — Ja się uniosłem, więc rzuciłem może jakieś zbyt gwałtowne słowa, jak to zwykle w gniewie... Tymczasem, tak po trzeźwym namyśle, to ta sprawa przedstawia się nieco inaczej... Trochę niezastanowienia, wybryk romantycznej wyobraźni dziewczęcej, kobiece współczucie dla chorego znajomego... A przytem... Józce widocznie nie dogadzało małżeństwo z tym wiejskim nauczycielem... Walczakowie namówili, a ona nie kochała go... Ja sam nawet myślałem już o tem, żeby zerwać... Mówił pan kiedyś o tym Michniku, że to prostak i hołysz... Miał pan słusność, panie profesorze...

Maliniewicz umilkł. Cekał, że mu Stobiński jakąś wtrąconą uwagą ułatwi dalsze wyjaśnienia.

Ale „pan profesor“ ani myślał pomagać radcy i milczał uparcie.

Maliniewicz nie znajdując żadnej z jego strony zachęty, musiał sam przystąpić do rzeczy. Postano-

wił, że najlepiej będzie wypowiedzieć swoją myśl odrazu, bez omawiań i długich wstępów.

Poufale, przyjacielsko położył rękę na ramieniu Stobińskiego.

— Wie pan co, kochany panie Aleksandrze — radca nazywał Stobińskiego po imieniu — pan tak bardzo pragnął żenić się z Józką, no, to niech się pan żeni. Dam ją panu!...

Uśmiech tryumfującej złośliwości przemknął po wargach Stobińskiego i w zielonawych oczach jego zapalił migotliwe iskry.

— Teraz, panie radco?

— No i cóż z tego, że teraz?...

— Panie radco, mówmy otwarcie — Stobiński wyprostował swoją drobną, mizerną postać — pan chce, żebym ja mojem nazwiskiem pokrył hm... kompromitację panny Józki?...

Radca zdjął rękę z ramienia Stobińskiego i cofnął się trochę zachmurzony.

— Co znowu za kompromitacja?... Czyż to jedna panna zrywa zaręczyny?... W tem niema nic kompromitującego... Co zaś do tej trochę ekscentrycznej podróży do Zakopanego, to, gdyby tamten był zdrow, no, nie mówię, wtedy... Ale tak, jak sam pan powiedział, ciężko chory, w sanatorium... To czyn samarytański poprostu...

— Pan radca przed chwilą jeszcze inaczej sądził...

— Bo byłem zirytowany, podniecony!

— Panie radco! Pan wie, jak ja pannę Józję... że ja dla niej... Otóż, pomimo wszystko i teraz gotów jestem, ale, zważywszy na zmienione warunki...

Maliniewicz spojrzał mu w oczy bystro, przenikliwie...

— Oh, panie kochany! Rozumiem!... Pan masz zamiar żądać posagu... Nic z tego! Nie dam ani grosza! Nie mogę poprostu i koniec! Dla Józki zawsze znajdzie się mąż... Nie trzeba go kupować! Ona na to za piękna!

Uroda była jedyną wartością, którą Maliniewicz uznawał w córce i cenil.

Ojciec Józki i Stobiński mierzyli się przez chwilę wzrokiem, jakby próbując wzajemnie jeden siłę woli drugiego.

Stobiński zrozumiał, że Maliniewicz nie ustąpi, że w bezwzględny egoizm swoim zdecyduje się raczej na wszystko inne, niż na to, by ze swego dobrobytu uszczknąć choćby drobną cząstkę.

— Ona jest piękna! — powtórzył jeszcze raz Maliniewicz, podkreślając wyraz piękna. — Szukać w Krakowie takiej drugiej panny!...

Szarpnęło się coś w Stobińskim. Pożądanie zalało go falą dławiącą, przemożną.

— Zgoda, panie radco! — wyrzekł po chwili głosem pewnym i stanowczym. — I dziękuję za córeczkę! — dorzucił z ironicznym uśmiechem.

W milczeniu uściśnęli sobie ręce. Radca miał minę trochę zakłopotaną.

— Ależ tę Józkę trzeba sprowadzić... Ja pojechać nie mam czasu, a przez policję to jakoś nie bardzo... bo do gazet się dostanie i skandal gotowy!

— Niech pan radca zda to już na mnie! Ja sam pojedę do Zakopanego i sam pannę Józję przywiozę!

— Racja! To do pana należy, jako do narzeczonego... Otóż, w mojem imieniu niech pan Józki powie...

Przerwał, bo w tej chwili zapukał ktoś do drzwi.

— Kto tam?

— Telegram, proszę pana — ozwał się za drzwiami głos służącej. — Posłaniec czeka, żeby pan radca podpisał receptę.

— Telegram? Dawaj prędko! — zawołał Maliniewicz, otwierając drzwi.

Służąca podała receptę i złożony blankiet telegraficzny.

— Skąd to? Z Zakopanego... od...

Maliniewicz szybko podpisał receptę i otworzył telegram. Przeczytał po cichu i odetchnął z głęboką ulgą, jak gdyby stufuntowy ciężar spadł mu z piersi.

— Proszę posłuchać, panie Stobiński, co mi telegrafuje pani Walczakowa!

Nie nazywał go już panem Aleksandrem, ani kochanym panem, ani profesorem, tylko poprostu panem Stobińskim.

— Pani Walczakowa?

Zamiast odpowiedzi Maliniewicz przeczytał z wolna dobitnie, oddzielając i akcentując każde słowo:

„Józka jest ze mną. Wszystko dobrze. Zaręczyła się z Zarnickim. Prosi o pańskie przyzwolenie. Wyjaśnienie w liście.

Aniela Walczakowa.“

— No, widzi pan! Potrzebnie mi pan strachu napędził! Józka jest pod opieką pani Walczakowej, której ja przecież sam powierzyłem. A że zmieniła narzeczonego, to już jej rzecz!... Nawet na lepsze, bo ten Zarnicki, to podobno człowiek z przyszłością i majątny...

Stobiński stał oniemiały nagle. Pobladł tak, że zmięta jego cera przybrała jakiś odcień zielonawy.

— Cóż, nie mówiłem panu — ciągnął dalej radca, doskonale dobronasznym tonem i uśmiechem maskując zadowoloną złośliwość — że dla Józki o męża nietrudno! Szelma dziewczyna, ma szczęście!

## ROZDZIAŁ XV.

Z pamiętnika Kornelii Witowtówny.

25. września.

Co ja robiłam! Co ja zrobiłam!... Obym tam była nigdy nie jechała! Tak się zdradzić, tak głupio zdradzić... Kobięcie, rywalce pokazać cały ból... całą rozpacz!... To pali!

Co ja mówię, rywalce... Czyż ja mogę rywalizować z taką Helą, czy wogóle z jakąkolwiek przystojną kobietą?... Można mnie tylko wyśmiać.. wyszydzić... A jednak ona nie śmiała się...

30. września.

Jak on na nią patrzył!... Nigdy tak ani na Lilę Skirmuntównę, ani na Warewiczównę, nawet na tę przesliczną Nusię, za którą „szalał“ przez kilka miesięcy... Wiłam się wtedy z bólu, szarpałam za zdradą, a jednak to było co innego...

Teraz wiem... Tak patrzy mężczyzna tylko na kobietę wybraną!...

Gdyby on tak raz na mnie!... A potem, niechby się choć ziemia podemną zapadła!...

2. października.

Co właściwie znaczyły te słowa Heli przy pożegnaniu: „Pamiętaj, Kornelko, że ja nigdy, nigdy!“ I tak dziwnie spojrzała na mnie, z taką litością... Czyżby powiedzieć chciała, że, jak jałmużnę przebogata składa mi w ofierze własną miłość, własne szczęście, bo i ona kocha go...

Kto wie... Hela jest szlachetna i bardzo prze czulona...

Ale nie chcę jej jałmużny, ani litości!...

3. października.

W takim razie zatrułabym, zburzyłabym ich szczęście, a co mnie z tego przyjdzie?...

5. października.

Ludwik kocha Helę... Jeżeli ona odtrąci go, to będzie cierpiał, jak ja... A gdyby kiedy dowiedział się, że to przezemnie, znienawidzi mnie!... Nie, nie! Wszystko, byle nie to!... Niechaj będzie obojętność, lekceważenie, tylko nie nienawiść!...

6. października.

A może ona powiedziała mu i teraz oboje śmieją się, drwią z „poczwary“, której zamarzyło kochać się...

Chyba nie... To byłoby podłe, a Hela podłą nie jest... Może nawet zanadto... Może nawet głupio szlachetna...

8. października.

Gdyby tak czemś udowodnić Heli, że się omyliła, że to był tylko atak nerwowy... ale czem?...

10. października.

Muszę zająć myśli czemś innym, bo jak tak ciągle o tem jednym myśleć będę, to mogę dojść do obłędu! Już i tak zdaje mi się, że kilka razy na ulicy mówiła sama do siebie... Ludzie patrzyli na mnie, jak na waryatkę... Tego mi tylko brakuje!

Trzeba się trzymać!... Ja muszę mieć siłę i energię do pracy, bo ktoś na mnie zarabiał będzie? Nie wolno mi zapominać, że idę przez życie sama — przebojem!

15. października.

Czytam dużo... nawet dzienniki od deski do deski, od wstępnego artykułu do ogłoszeń... Próbuję interesować się więcej życiem, które mnie otacza, objęłam dyżury w ochronce dla sierót po żołnierzach... Nie pomaga... Tak mi zimno, pusto, samotnie...

17. października.

Czytałam w dziennikach, że wyłowiono z Wisły trupa młodej dziewczyny, która z mostu rzuciła się do wody... W taką zimną, wietrzną deszczową noc skoczyła do Wisły i koniec... Żołnierz, który pilnował mostu, widział, ale nie zdążył już przeszkodzić, ani uratować... I dobrze się stało, bo po co przeszkadzać, jeżeli ktoś chce skończyć?...

Powodem miała być miłość bez wzajemności... Więc i ładne kobiety mogą kochać bez wzajemności, bo to podobno była bardzo ładna dziewczyna... Ciągle o niej myślę...

A jednak, żeby tak skończyć, trzeba mieć albo bardzo dużo odwagi, albo być wielkim tchórzem... A ja... ani jedno, ani drugie... Nie chciałabym zresztą ani za życia, ani po śmierci iść na żer sensacyi. Trzeba więc żyć... trzeba jakoś żyć...

(Ciąg dalszy nastąpi)